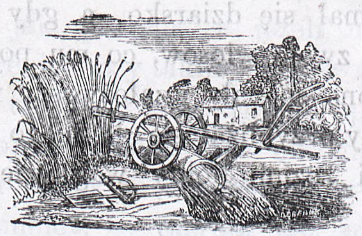
Tom I. 21. Lutego 1870. Nr. 6.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Serdeczne słowo.

przez Jana Kantego Gregorowicza.

W dzień Św. Piotra i Pawła uroczyście święcony przez cały świat chrześciański, we wsi Dembicach położonej w ziemi Sandomierskiej, cisza prawdziwie świąteczna zaległa całą wioskę. Nigdzie nie było słychać najmniejszego gwaru, zaniemiały głosy skrzętnej pracy, nawet dobytek wiejski leżał spokojnie zamknięty w chlewach i oborach. — Tylko ptaszyny swoim zwyczajem świegoliły rezolutnie, brzęczały pszczoły, dzwoniły w górze skowronki i klekotał bocian stojąc na gniaździe na wysokiej osicy umieszczonem. —

Przed jednym z domów wiejskich, za którym znajdowały się przynależne budynki gospodarskie, na ławeczce siedział włościanin osłonięty cieniem domu. — Czytając z kiążki nabożnej litanię do Najświętszej Panny, czasami rzucał spojrzenie na drogę i niedalekie wzgórza, jakby z tej strony wyczekiwał czyjegoś przybycia. —

Był to Mateusz Bogucz, gospodarz rolny w Dembicach, człowiek zamożny, uczciwy i pracowity, który zabiegłością i oszczędnością, mienie zostawione mu przez ojców prawie podwoił i uważany był przez wszystkich za najbogatszego. —

Piękna to była postać: wyniosły jak topola, pomimo lat piędziesięciu, trzymał się dziarsko, a gdy się wyprostował, gdy ugładził gęste zwoje włosów, co mu po obu bokach łysej głowy aż na ramiona spadały i założywszy rękę za pas, spojrzał w górę, to każdy przybliżał się do niego z poszanowaniem, bo czuł, że tam i rozum dobry w głowie i serce poczciwe bije w piersi. —

Powiadają jednak że Mateusz był dumny, że nie lubił się bratać z byle kim i że często ostrem słowem karcił zuchwałość i nieoględność ludzką nie obwijając słów swoich w bawełnę.

Taka prawdomowność gniewała ludzi, szczególnie też nicponiów, gdy nadskoki o wyłudzenie pożyczki nie zdołały go poruszyć. — Ale Mateusz na to nie zważał a odganiając od siebie jak natrętne muchy podobnych uprzykrzeńców, prawdziwej niedoli nigdy nie pominął, i nie tylko wsparł bez prowizyi ale i przytulił, gdy tego zaszła potrzeba. — Bano się go więc, ale i szacowano, a niejedni ojcowie starali się o bliższą przyjaźń, pragnąc w jedynej jego córce Wiktosi zyskać synowę, która jeżeli nie przewyższała urodą inne dziewczęta wiejskie, za to posiadała wiano jakiem się żadna pochlubić nie mogła. —

A śliczna to była dzieweczka, młodziutka bo w szesnastej dopiero wiośnie, smagła jak łania, rumiana jak różyczka, figlarna niby ptaszek świeżo z gniazda wyfrunięty, a mimo tego skromna i niewinna, podobna do kwiatka, co rozwinięty z pączka, krasą listków swoich chwali Pana wszechrzeczy i obudza ludzkie uwielbienie. — Nic też dziwnego, że dzieweczce tak urodnej, posażnej i powabnej oddawano pierwszeństwo przed drugiemi, a choć rodzice strojów nie żałowali, choć ją strzegli jak oka w głowie, z pracy jednak nie zwalniali, bo wiedzieli to dobrze, że ona tylko jedna, co zdobi prawdziwie człowieka. Komu jednak miała się dostać Wiktosia, nikt nie wiedział, ani odgadnąć nie potrafił. — Wprawdzie młodzieży dosyć się koło niej kręciło, ale choć oczy miała bardzo figlarne, choć się uśmiechała, niemi to do tego, to do owego, żaden nie mógł się pochwalić jakąś większą przychylnością. —

Był jednak jeden, Janek Wawroń, przy którym Wiktosia zawsze kraśniała jak piwonia, a jeżeli ukradkiem spojrzała na niego, to modre jej oczy takim zawsze zajaśniały blaskiem, że zdawało się iż tryśnie z nich ogień i spali na węgiel młodego chłopaka. Spojrzeń jednak tych nikt nigdy nie pochwycił, znał je tylko sam Janek i pielęgnował w wielkiej przed całym światem tajemnicy. — Sierota bez ojca i matki, utrzymujący się ze służby u jednego z gospodarzy, czyż mógł się spodziewać, że mu Mateusz odda skarb największy jaki posiada? Ale tajemnice takie wprędce się wydają, szczególniej jeżeli ludzie w ukryciu ich mają interes. — Wieści więc o przychylności Wiktosi dla Janka, wprędce doszły do uszów Mateusza. — Zmarszczył brwi niechętnie, ale nic nie odrzekł donosicielom, tylko pomyślał sam w sobie:

— Wolałbym aby się Wiktosia postarzała na panieństwie, jak miała wyjść za takiego nicponia i obieżyświata. —

W niechęci tej poczęści była słuszność. — Janek dobry był chłopak, ale za nadto garnął się do świata i jego uciech. — Zagrać na skrzypcach, pośpiewać, wyskoczyć w taneczku, do tego był jedyny i za zabawą przepadał, ale do pracy brał się tylko z musu i choć w robocie nie lenił się, choć każdą wykonywał dobrze, jednak znać było, że przekłada wesołą śpiewkę nad ciężką w roli pracę. — Ludzież jednak we wsi lubili bardzo Janka i powiadali:

– Młody, więc ochotny do zabawy, ale z latami ustatkuje się, bo chłopak poczciwy i wie, że bez pracy nie będzie kołaczy. — I myśmy nie lepsi byli za naszej młodzieńczości, a jednak ustatkowaliśmy się i z łaski Boga chleba nam nie brakuje.

Mateusz jednak innem okiem na Janka patrzył, być może że jako ubogiego, nie uznał godnym pokrewnienia się z tak zamożnym jak on gospodarzem i do tego od dziada i pradziada osiadłym w jednej wsi i na jednej zagrodzie: ale z tem się nigdy nie wyjawiał i nieprzychylność swoją dla Janka zganiał jedynie na jego płochość i niestatek. —

*

Mateusz siedząc przed domem, często niespokojne rzucał spojrzenie na drogę, bo jako człek pobożny, powróciwszy z rannego nabożeństwa, Wiktosię z żoną i czeladką wyprawił na Summę do kościoła a sam pozostał w domu. — Co chwila więc spodziewał się ich powrotu, i co chwila bardziej się niecierpliwił, bo mu mimo woli stawał w myśli Janek, że zapewne nie zaniedba korzystać ze sposobności zalecenia się Wiktosi. —

W tem nagle ozwały się śmiechy i gwar ludzkiej rozmowy. — Mateusz spojrzał, wpatrzył się pilnie i sposępniał. Drogą postępowało grono wiejskiej młodzieży, a pomiędzy niemi szła Wiktosia i tuż przy niej Janek. — Matka cokolwiek w tyle pozostała, zajęta rozmową z sąsiadami. — Kiedy doszli do wsi, młodzież rozbiegła się w różne strony, a Wiktosia cała zarumieniona ucałowawszy ojcu rękę, wbiegła do izby i zaczęła zdejmować świąteczne ubranie. — Mateusz w milczeniu wszedł do izby i popatrzywszy na ukochane dziecko, rzekł:

— Wiktosiu, źle robisz, że Janka ośmielasz. Nie idzie mi o jego ubóstwo, ale o statek i pracowitość. — Nie na tom cię moje dziecko wychował, abyś się miała dostać takiemu przybłędzie z końca świata i nie na to zabiegał w ciężkim znoju przez całe swe życie, aby to czegom się dorobił, roztrwoniły ręce zięcia próżniaka i nicponia. — Tyś córka gospodarska, przywykła do statku i pracy, upodobaj sobie takiego, co także z rękami nie ucieka od roboty. Janek nie dla ciebie, niech sobie szuka podobnej sobie, co gdy głód im dokuczy, to się nie poswarzą, a tobie Bogu dzięki niedola nieznana. —

Wiktosia całej tej mowy wysłuchała w wielkiem zawstydzeniu, a choć serce młotkiem jej uderzało, choć z żalu łzy się jej do oczu cisnęły, nie odrzekła ani słowa, tylko patrząc w ziemię, zwijała na palcu tasiemkę od fartuszka. — Matce jednak żal się zrobiło biednego dziewczęcia, a przeczuwając boleść serca swej jedynaczki, rzekła do męża: —

— Ej! dałbyś pokój takiej niepotrzebnej mowie. Wiktosia nasza jeszcze za młoda, żeby o kochaniu miała myśleć, a Janek nie jest znów tak ostatni, żeby nim tak poniewierać —

— Jakim jest niech sobie będzie — odezwał się Mateusz — ale od dziecka mego niech będzie zdala, bo choć stare mam ręce i spracowane, ale krzepkie i nie dam kalać progów mego domu takiemu nicponiowi.

Wiktosia rozmowy rodziców wysłuchała w sieni, a gdy spojrzała na ojca, wychodzącego z izby, ledwo nie krzyknęła z przerażenia, zobaczywszy jak z gniewu cały poczerwieniał i na wysokie czoło jego wyskoczyły żyły jak postronki. — Wbiegła więc do izby i rzucając się w objęcia matki, załkała głośnym płaczem. —

— I czego płaczesz moje dziecko? — zapytała Mateuszowa.

— Nie wiem najdroższa mateczko, ale tak mnie serce boli, taki mnie żal przejmuje, że tylkobym płakała i płakała.

— Przycisz się moje dziecko — mówiła matka tuląc głowę dzieweczki do piersi — zmartwienie ofiaruj Bogu, a jeżeli Janek ci przeznaczony, to cię nie minie......

— To wy byście nic przeciw niemu nie mieli? — zapytała Wiktosia i spojrzała z taką miłością w oczy matce, jakby pragnęła wymodlić przychylną odpowiedź. —

— Jeszczem o tem nie pomyślała — odrzekła matka — ale o mnie fraszka, gorzej, że ojciec zaciął się i o Janku nie da sobie nawet wspomnieć.

Wiktosia z boleścią załamała ręce, matka mówiła dalej:

— Przy Boskiej pomocy może się to jako odwróci, ale miej baczenie na siebie moje dziecko, bo ludzkie oczy podejrzliwe a języki ostre jak noże, pocóż się mają znęcać na tobie? Od Janka bądź zdala, a jak go ujrzysz, zamykaj oczy i zatykaj uszy, bo tak kazał ojciec a woli jego należy być posłuszną.

Poczciwa matka nie sprzeciwiając się wyraźnie pragnieniu dziewczęcia, sądziła że tym sposobem Wiktosia o Janku zapomni, że nie patrząc na niego i nie słuchając jego zalotnych słówek, pomału odwyknie i serce swe zmieni. — Korciło ją to bowiem, że Janek i sierota i ubogi, a ośmielił się podnieść oczy na córkę takich familiantów i bogaczów.

— Ho! ho! — myślała sobie nieraz — za wysokie nasze progi na ubogie twoje nogi. Dziecko nasze jedyne warte przecie lepszego losu.

Tymczasem mijały dnie i tygodnie a w domostwie u Mateusza nic się nie zmieniało — O Janku nie mówiono, ale tak rodzice jak córka zawsze go mieli na myśli, bo ile razy kto o nim napomknął przypadkiem, to Wiktosia rumieniła się, matka westchnęła a ojciec ściskając pięście szeptał z niechęcią:

— Próżniak i przybłęda.

Mimo tego młodzi kochali się, bo kochanie jak z namowy nie powstaje, tak go i przykazem z serca nie wypłoszy. Wprawdzie Wiktosia jako dobra córka i skromna dzieweczka unikała Janka o ile mogła, ale w lecie tyle sposobności jest do spotkania się, to w polu przy sprzęcie zboża, to przy studni gdy szła po wodę, to w drodze do kościoła, że ustrzedz się zejścia było niepodobieństwem. — Janek zaś nie pomijał nigdy do tego sposobności i jak tylko ją ujrzał, z wesołym uśmiechem witał ukochaną, szepcząc z uczuciem:

— Wiktósiu ty moja jedyna, — żeby między nami góry postawiono, to je przekopię; żeby całym lasem nas przedzielono, to wyrąbię, a moją być musisz.—Ubogi jestem, ale mam ręce zdrowe, ojcom twoim u nóg się uwieszę a wyproszę cię dla siebie, boś ty moje szczęście i uweselenie. Przy tobie wszędzie mi jasno gdzie spojrzę, jakby dwa słonka nad nami świeciły; bez ciebie nawet w południe ciemnica mnie otacza. I cóż ja winien takiemu kochaniu?

Wiktosia słuchając słów tych, stała jak przykuta. Chciałaby uciec, pragnęła nie patrzeć na Janka i nie słuchać tego co mówi, ale jakaś dziwna siła przytrzymała ją w miejscu.

I tak zeszło lato, nadeszła jesień, a z nią i swaty małżeńskie, jako w porze do tego najprzyjemniejszej. Mateusz jednego dnia wrócił z targu z Sandomierza i jak tylko wyprzągł konie, oświadczył z widocznem zadowoleniem żonie, że spotkał się ze swoim kumem Smardzem z Bidzin, który go prosił o Wiktosię dla swego syna Walka.

— Chłopak młody, przystojny i stateczny — dodał Mateusz — ojciec zamożny, ma dwa gospodarstwa i jedno

oddaje dla Walka. — Przyrzekłem mu więc i w przyszłym tygodniu ma z synem do nas przyjechać.

— Dobrze to wszystko — odrzekła matka - tylko czy upodobają się sobie nawzajem?

— A dla czegoż nie?

— Bo to widzisz...... i nagle Mateuszowa ucięła mając Janka na myśli.

— Jeżeli myślisz o tym przybłędzie — odezwał się Mateusz brwi marszcząc — to fraszka. — I tyś zrazu ze mną bałamuciła, a jednak w przyjaźni i w zgodzie przeżyliśmy tyle lat z sobą. — Z Wiktosią to samo się stanie! bądź spokojna, ja dziewczynie wszystko z rozumem przełożę, tylko niech się wprzód z sobą poznają.

— W nadchodzącą niedzielę Mateusza od rana nie było w domu. Tymczasem w miejscowej karczmie pierwszy raz po długiej przerwie, ozwały się skrzypki i basy. — Po ciężkiej pracy zabawa bardzo ponętna, zwłaszcza gdy grajek rześko wygrywa, że same nogi prawie wydzierają się do tańca. Ludzi więc zbiegła się spora gromadka, między niemi był Janek, a Wiktosię przyprowadziła ciotka, bo miała ochotę wyswatać ją za krewniaka swojego męża. — Kiedy Mateusz powrócił do domu, udał się również do karczmy. — Izba tylko się wiła głowami ludzkiemi, grajek wycinał od ucha a z dziesięć par kręciło się po środku, przytupując i pokrzykując ochoczo. — W pierwszej był Janek ze swoją ukochaną i zatrzymawszy się przed skrzypkiem zaśpiewał:

Oj dudni woda dudni,
Da w cembrowanej studni,
Oj zakochać się łatwo,
Oj ale przestać trudniej.

Mateuszowi z gniewu zaiskrzyły się oczy, ale powstrzymując uniesienie, przecisnął się przez tłum i biorąc córkę za rękę rzekł:

— Choć do domu, dosyć tej uciechy.

Wiktosia zadrzała i schyliła się kornie do nóg rodzica. Mateusz w milczeniu wyprowadził ją na dwór a ujrzawszy Janka za sobą, rzekł z gniewem:

— I czegóż nas szpiegujesz? Odczep się, bo jak stracę cierpliwość, na nic zważać nie będę.

— Nie zważajcie na nic — zawołał Janek, obejmując nogi Mateusza z wielkiem poszanowaniem — bijcie mnie co się wam podoba, szkalujcie przed całym światem, tylko przebaczcie Wiktosi.

Mateuszowi opadły ręce, nie spodziewał się takiej w chłopcu potulności. Stał w miejscu, Janek wisiał mu u nóg, a dzieweczka płakała zasłaniając oczy fartuszkiem. — Po chwili Mateusz uprzytomniał.

— Możeś nie taki zły jak się wydajesz — rzekł już łagodniej —ale wybij sobie niepotrzebne myśli z głowy Nasza chudoba ci na oku, ona nie dla ciebie.....

— Nie mówcie tak — przerwał Janek — nic od was nie chcę, tylko choćby odrobinę życzliwości. Zostanę u was czem chcecie, parobkiem, wyrobnikiem, zaprzęgnę się do wozu z koniem, do pługa z wołu, ale nie odpychajcie mnie od siebie. Mateusz odsunął łagodnie Janka od swych nóg i w milczeniu odszedł z Wiktosią do domu. Kiedy ujrzał się sam na sam z żoną, rzekł:

— Oj! narobiliście mi z tą karczmą biedy. Janek takie mi słowo serdeczne powiedział, że już nie mogę się na niego gniewać. O mało się nie rozpłakałem, a to bieda dopiero.

— Niech tam Bóg wszystkiem rozporządza — odrzekła Mateuszowa.

We trzy dni potem przybył Smardz z Walkiem na poznajominy. Przyjęto ich bardzo życzliwie, ugoszczono, uczęstowano, ale Wiktosia nawet spojrzec nie chciała na chłopca. Poważna matka bała się z tego burzy, nad spodziewanie jednak Mateusz po odjeździe gości nie zrobił najmniejszej wymówki, tylko wzdychał i czasem mruknął do siebie:

— Słowo to nie wiatr, co leci i ginie; byle z serca wychodziło, to ma taką moc, że jej nic się nie oprze

Za swatami Smardza inne się posypały jak zboże z dziurawego worka. — Wiktosia wszystkim odmawiała bez

wyjątku, wreszcie matka pierwsza ośmieliła się przemówić za Jankiem:

— Ojcze — rzekła — nie odpychajmy sieroty od siebie. Biedny ale poczciwy, a to więcej znaczy jak największe bogactwo.

— Ha! to niech się dzieje wola Boża — odrzekł Mateusz — kto odgadnie co dziecku naszemu szczęście przyniesie.

Janek wprędce się o tem dowiedział i jeszcze wieczorem zjawił się w izbie Mateuszów. — W pierwszej chwili nie wiedział co ma z sobą zrobić i przy progu stał jak trusia, obracając czapkę w ręku.

— Cóż nam powiesz moje dziecko? — zapytał dobrotliwie Mateusz.

— Co powiem? powtórzył rozrzewniony Janek —

— O! mam wiele do powiedzenia, a i jednego słowa wyrzec nie umiem. Ale pozwólcie mi siebie nazywać rodzicami, przytulcie mnie jak syna do piersi.... a może język mi się rozwiąże... bo ja sierota, jeszcze słów takich nie słyszałem....

Mateusz przełknął łzy i wyciągając rękę zawołał:

— Synu! mój synu ukochany! chodź niech cię uściskam.

— Ojcze! matko! — zawołał Janek padając do nóg Mateuszom i rzewnemi łzami oblał ich stopy.

Co się z Wiktosią działo, łatwo się domyślicie, że znalazła się także u nóg rodziców, którzy z oczami wzniesionemi w górę, błogosławili młodej parze.

Wesele miało się odbyć w zapusty, ale Janek choć od nowego roku zamieszkał u Mateuszów, prosił aby przeciągnięto je do jesieni mówiąc:

— Poznacie mnie lepiej moi ojcowie i zobaczycie, że mi nie idzie o wasze bogactwo, ale o waszą życzliwość.

Stało się jak żądał; dziś już rok szósty jak Janek jest zięciem Mateuszów, miłość i wzajemne poszanowanie łączy wszystkich, a Mateusz bawiąc się z wnukiem, powtarza często:

— Janek za serdeczne słowo zdobył sobie żonę, a ja za poszanowanie poczciwej mowy, dostałem syna. — Oj! prawda, że różnie Bóg radzi o swojej czeladzi.

Pieśń Janka Cmentarnika.

Wł. Syrokomli.



W naszej wiosce za mych latek
Inny bywał ruch:
I wesele i dostatek,
Każde dziewczę gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo
Inne czasy masz;
Szarem kwieciem łąka kwitnie,
Pokarlały kłosy żytnie,
Zbladła ludziom twarz.

Czy w jesieni, czy to w wiośnie
Były piękne dni,
Czy pracujem — serce rośnie,
Czy się bawim — to rozgłośnie
Aż gospoda drzy!

Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki i do pracy —
Wiem ich siłę — wiem:
A ojcowie dzielni, starzy
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuistym snem.

Więc tam pójdę na mogiłę
Będę płakał rad;
Do nich miodu dzban wychylę
I pogwarzę słodko — mile,
Z ludźmi dawnych lat.

Ksiądz Adam Prosper Burzyński, reformat, biskup sandomierski.

Prześliczny, chociaż smutny widok przedstawia miasto Kazimierz dolny w Królestwie polskiem nad Wisłą leżące. Z jednej strony góry zielone, z drugiej ukochana nasza Wisła, dalej odwieczny zamek w gruzach, obok zaś okrągła samotna na skale strażnica, wysokie dachy kościołów, stare, ale dziś

jeszcze przypominające dawną okazałość kamienice w pośrodku drzew rozłożystych, wszystko to z daleka nęci wędrowca, lubiącego ojczyste pamiątki. Jakoż smutny, obdarty, coraz bardziej walący się w gruzy Kazimierz jest dla serc polskich drogą i świętą pamiątką, po ukochanym królu chłopków, Kazimierzu wielkim, który je założył i od swego nazwał imienia. Jego dziełem jest także zamek i owa strażnica przeznaczona niegdyś do śledzenia obrotów nieprzyjacielskich a która służyła także za latarnię galarom, płynącym Wisłą ze zbożem.

W jej lochach były też więzienia dla zbrodniarzy, na całe życie skazanych, a w jednym z nich umarł pan możny Maciej Borbowicz, wojewoda, którego król Kazimierz Wielki za rozboje i nadużycia skazał na śmierć głodową. Spuszczony do lochu tylko z wiązką siana i nie dostawszy ani kawałka chleba, umarł po dziesięciu dniach. Sroga kara, ale też i zbrodnie były wielkie.

Bogatem i handlowem miastem był niegdyś Kazimierz, tak że go małym Gdańskiem nazywano ale złupiony dwukrotnie przez Szwedów, już się nie podźwignął i jest dzisiaj jedną wielką ruiną, przez żydostwo tylko zamieszkałą, a z licznych szpichlerzów nad brzegami Wisły w których kupcy zboże składali, tylko gruzy zostały.

Są tutaj trzy kościoły: farny, zbudowany za dawnych, lepszych czasów przez Mikołaja Przybyłę, mieszczanina kazimierskiego, Św. Anny, niewiadomo przez kogo fundowany i trzeci na pochyłości wzgórza, księży Reformatów, z klasztorem ubogim jak wszystkie reformackie, także fundacyi owego Mikołaja Przybyły. Przed kilkudziesięciu laty, właśnie w tych czasach gdy źli sąsiedzi zaczęli szarpać w kawały naszą matkę ojczyznę, a najgorszy z królów Stanisław Poniatowski w tem im dopomagał, żył w tym ostatnim klasztorze zacny bardzo kapłan, ksiądz Adam Burzyński, mąż uczony i przejęty świętym zapałem dla spraw kościoła Bożego. Rozmyślał on często, jak wielkie mają zasługi kapłani, którzy udają się dla krzewienia nauki Zbawiciela do krajów pogańskich i odezwało się w nim gorące pragnienie wstąpienia w ich ślady. Pobożną tą myślą tak się przejął, że już żadną miarą pozbyć się jej nie mógł, choć nawet rozważył potem, z jakiemi tru-

dnościami walczyćby mu przyszło. Trzeba to bowiem przebyć nie jedne sto mil drogi lądem i wodą, a przybywszy na miejsce, trzeba przemawiać do ludzi całkiem lub w pół dzikich. A jakżeż do nich przemawiać, jeźli się nie umie ich języka? Nie koniec na tem. Misyonarz chcący nawracać niewiernych do czci prawdziwego Boga naraża się na tysiące niebezpieczeństw: co krok zagraża mu śmierć męczeńska, a chociaż słodko umierać za wiarę, to boleśnie jest ponosić śmierć nieosiągnąwszy celu swego poświęcenia. — Nic to wszystko nie odstraszało księdza Burzyńskiego. Gdy swoją myśl powierzył starszym braciom zakonnym, przedstawiali mu na jakie się naraża niebezpieczeństwa, ale przekonawszy się, że go w postanowieniu zachwiać nie zdołają, przestali odwodzić. Uradzono, aby ksiądz Burzyński pojechał do Rzymu dla bliższego wywiedzenia się o wszystkiem i pozyskania błogosławieństwa od Ojca św. Wkrótce potem pewnego poranku zajechała bryczka klasztorna. Ksiądz Burzyński pożegnał zaciszną celę w której wymarzył sobie przyszłość tak pełną walk i niebezpieczeństw, pożegnał braci zakonnych i odjechał.

Podobno żadne miasto w świecie, z wyjątkiem chyba jednej Jerozolimy, gdzie Zbawiciel poniósł śmierć męczeńską, nie sprawia tak głębokiego wrażenia, jak Rzym. Bo też to miasto jedno z najdawniejszych najsławniejszych i najokazalszych. Dla nas katolików ma ono szczególniejsze znaczenie dla tego, ponieważ jest stolicą Namiestnika Chrystusowego, który tu mieszka, jest stolicą całego katolickiego świata. Tu niezliczona liczba pierwszych chrześcian męczeńską śmierć poniosła, tutaj najokropniej byli prześladowani, tu każdy kamień świętą jest po nich pamiątką. Jest też w tem mieście 328 kościołów, między innemi kościół Św. Piotra największy i najwspanialszy w całym świecie, jest mnóstwo prześlicznych pałaców a między niemi najpiękniejsze te w których papież mieszka, jest i wiele innych godnych widzenia osobliwości, co wszystko i rozrzewnia i zdumiewa przechodnia. Doznał tych uczuć i ks. Burzyński za przybyciem do Rzymu, a cóż dopiero gdy był przedstawiony Ojcu św., łaskawie przyjęty i do ucałowania nóg przypuszczony. Nie puszczono jednak księdza Burzyńskiego od

razu w drogę, lecz umieszczono go w szkole, w której księży wybierających się w podróż dla nawracania niewiernych nauczają wprzód rozmaitych języków, aby mogli rozmówić się z tymi, których będą nawracali. Jest to bardzo dobra szkoła. Uczniem jej był niegdyś ksiądz kardynał Mezzofanti, sławny z tego, że umiał czterdzieści ośm mów ludzkich. Toż i ksiądz Burzyński przy szczerej chęci wkrótce nauczył się po arabsku, po turecku, po persku, poczem, otrzymawszy błogosławieństwo Ojca św. wsiadł na okręt i popłynął morzem w podróż do Egiptu.

Egipt to owa kraina, gdzie Przenajświętsza rodzina znalazła przytułek przed okrucieństwem Heroda, owa kraina, gdzie przedtem potomkowie Izraela byli tak bardzo uciskani przez królów Faraonów, nim ich Mojżesz z rozkazu Bożego wywiódł ztamtąd przez morze Czerwone na puszczę. Budowle te które Izraelici stawiali w Egipcie stoją dotąd, choć to już temu cztery tysiące lat, i nazywają się Piramidy. Są to gmachy zdumiewające ogromem, na szerokiej podstawie, coraz zwężające się ku górze i zakończone płaskim wierzchołkiem. Zbudowane są z niezmiernych brył kamienia wapiennego, kładzionych jedna na drugiej, niespajanych niczem, i są z wierzchu powleczone wapnem lub marmurem. Najwyższa ma trzysta łokci wysokości. Na co właściwie przeznaczone były piramidy niewiadomo z pewnością, ale zdaje się że służyły za grobowce dla królów i innych osób. Jakoż znajdują się w nich po dziś dzień ciała ludzkie napuszczone żywicą i uwinięte w płótno, zwane mumiami, które w ciągu tysięcy lat stwardniały w kamień. Po wielu zmiennych kolejach Egipt przeszedł nakoniec pod panowanie tureckie, rządzili zaś nim tak zwani Mamelucy, co znaczy na polskie niewolnicy, ponieważ rzeczywiście byli potomkami niewolników.

Otóż tutaj przybył ks. Burzyński, aby Egipcyan, Turków i Mameluków, zaciętych nieprzyjaciół religii chrześciańskiej nawracać do świętej wiary. Aby przed krajowcami utaić przynajmniej z początku swoje zamiary, których zdradzenie mogłoby go przedwcześnie przyprawić o śmierć męczeńską, nie przyznawał się jawnie, czem jest w istocie. Dla

tego też musiał ubierać się jak Turek, nosił długą kapotę i zawój na głowie i brodę po pas zapuścił, ponieważ Turcy bardzo szanują starców. Był on biegłym w sztuce lekarskiej i do każdego chorego, jakiejkolwiek był wiary, spieszył chętnie z pomocą. Zato polubili go wkrótce mieszkańcy i największy mieli dla niego szacunek. Umiał z tego korzystać zacny kapłan i gdy się tylko nadarzyła sposobność przygotowywał zwolna wyznawców religii tureckiej do przyjęcia prawd wiary prawdziwej.

Dalsze przygody tego zacnego kapłana opowiemy w następującym numerze.

O zamieszkiwaniu nowo wybudowanych domów.

Zdarza się teraz częściej, że tu i owdzie stawiają na wsi murowane domy. Ale przesądów jest jeszcze wiele między ludźmi. Zaledwie dom stanie już się doń sprowadzają nie bacząc na szkodliwe skutki, jakie z tego wynikają. A przecież to stara i powszechnie uznana prawda, że dłuższy pobyt w wilgotnej, wapiennemi wyziewami przesiąkłej izbie nadzwyczajnie dla zdrowia jest szkodliwy i dla tego do nowo wybudowanych domów sprowadzać się nie należy, dopóki zupełnie nie wyschną. Małym dzieciom szczególnie szkodzi wilgoć.

W Austryi istnieje rozporządzenie, że każdy nowo wystawiony dom dopiero wtenczas zamieszkanym być może, aż komisja złożona z technika (biegłego w sztuce), lekarza i urzędnika orzeknie, że w domu bezpiecznie mieszkać można. Gdy komisja przy bardzo suchem powietrzu, otwartych oknach i drzwiach w ogrzanych i przewietrzonych poprzednio pokojach nie spostrzeże wilgotnych miejsc na ścianach i nie poczuje wyziewu wapiennego, orzeka swoje zdanie bez względu na to, jak długo wysychały, podług przepisu dwie lub trzy stopy grubości mające mury, lub jakby one wyglądały, gdyby drzwi i okna kilka godzin lub noc całą były zamknięte.

W niektórych krajach nowo wymurowane domy muszą stać przez lat kika, zanim służyć mogą do powszechnego użytku; w innych krajach zamieszkują ludzie świeże domy zaraz po kilku miesięcach, ba nawet po kilku tygodniach — z wielką

szkodą dla mieszkańców. Jednakże wymierzony przeciąg nie wystarcza jeszcze, aby usunąć wszelkie szkodliwe wpływy, jak się o tem z łatwością przekonać można. Zanim się użyje wapno do budowy, wiadomą jest rzeczą, że się je poprzednio gasi; wtedy połącza się ono ściśle z wodą i nie uwolni się od niej pierwej, dopóki się nie połączy z potrzebną ilością kwasu węglowego. Owoż czas, ciepło, przewietrzanie itd. nie wystarczają jeszcze same, ażeby mieszkanie uczynić suchem i nieszkodliwem; potrzeba do tego koniecznie pewnej ilości kwasu węglowego. Ludzkie narzędzia do oddychania, które bez ustanku wytwarzają kwas węglowy, nie zdołają również zaradzić potrzebie. Z kądże tedy nabrać tyle kwasu węglowego? Oto pewien niemiecki profesor radzi, ażeby się trzymać tańszego, spiesznego i nieszkodliwego ludzkiemu zdrowiu sposobu: Każe w tym celu używać koksu, który nie tylko że mocno grzeje, ale nadto wiele wydaje kwasu węglowego Lecz wiele jest ludzi nieznających koksu. Koks jest to węgiel kamienny, spalony przy utrudnionym przystępie powietrza, przez co staje się ciałem lekkiem, szarem, uwolnionem od gazu wodorodowego i siarki. Jest tem dla węgla kamiennego czém węgiel drzewny dla drzewa. Otrzymuje się go z pieców umyślnie na to zrobionych, tak zwanych koksowych, albo z gazowni, gdzie gaz wodorodowy, którym oświecają wielkie miasta; pozostała zaś reszta jest koksem. Pali się nie wielkim płomieniem, ale mocniej grzeje od węgla kamiennego i mało bardzo zostawia popiołu. Używają go teraz kowale i ślusarze. Powiada tedy ów profesor, że paląc koksem, można w przeciągu ośmiu dni pokój uczynić mieszkalnym, albowiem koks nie tylko wydzielanem gorącem dobrze suszy, ale nadto 6 funtów wydziela 22 funtów kwasu węglowego, a 22 funtów kwasu węglowego są w stanie rozłączyć prawie 37 funtów wapna połączonego z wodą i tym sposobem obsuszyć wapno. To wystarcza do osuszenia pokoju miernej wielkości. Gdy się więc obsuszanie w ten sposób dwa lub trzy razy powtórzy a potem przez kilka dni dobrze pokój przewietrzy, można w nim mieszkać bezpiecznie.

Jednakże chcąc się trzymać tego sposobu, należy sobie tak postąpić, ażeby ogień wzniecać na środku izby; drzwi i okna pozamykać a po wypaleniu pootwierać — w izbie zaś nie siedzieć podczas palenia. Najlepiej udałoby się to wtenczas, gdy mury są obielone, okna powprawiane a podłogi jeszcze nie ma. W innym razie wypadałoby urządzić jaką nalepkę, którąby nie uszkodziła podłogi. Suche pomieszkanie, niezawodnie do zdrowia wielce się przyczynia, dla tego pamiętajmy:

Izba sucha, jadło świeże,
Myśl spokojna, zdrowia strzeże.

Józef z Bochni.

Rozmaitości.

Dowcip chłopski. Do gazety „Tydzień" piszą o chłopach polskich pod Moskalem, że coraz jaśniej rozpoznawać zaczynają całe położenie nieszczęśliwej sprawy. Boć też chłop polski ma swój rozum, tak zwany chłopski rozum. Ma on nadto i swój właściwy dowcip, więc też nieraz przytnie Moskalom co się zowie. Szlachcica za coś podobnego wysłaliby przynajmniej do kryminału a z przymówki chłopskiej nibyto pośmieją się jak z konceptu.

Wiadomo że czterystu rublami dozwalają popisowego wykupić od wojska. Na jednej z komisyi konskrypcyjnych puścili wykupionego tęgiego parobka — gdy w tem przystąpiła mątka — chłopka także — z synem nie wielkim i szczupłym, by go wykupić. Pokłoniła się zasiadającym i zapytała:

— Prześwietna komisyo, a ileż to tu trza płacić za funt ludzkiego mięsa?

— Jakto? zaśmiali się panowie komisarze.

— No jużciż, boć tutaj kupuje się ludzkie mięso. A ten parobczak co właśnie wyszedł, przecie daleko więcej waży od mojego cherlaka — i wskazała syna.

Komisarze pośmiali się i wyłożyli jej oczywiście, że tyle co tamten zapłacić musi.

Drugi raz znowu wykupywał chłop syna, i czterysta rubli czystem srebrem przed komisyą na stole wyliczył.

— Uzbieraliście gospodarzu sporo pieniążków — zagadał obecny pan ze wsi.

— A toć wielmożny panie, odrzekł wieśniak — uściułało się kiedy była niewola (to jest pańszczyzna) a teraz kiej jest wolność to je wyszupłać potrzeba.

Panowie komisarze pośmiali się i z tego dowcipu chłopskiego.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.